Artykuł zamieszczony na stronie www.pte.pl dzięki uprzejmości Miesięcznika Finansowego Bank

Waldemar Kuczyński.

Wspomnienie o skoku w rynek.

W roku 1979 prawie przymuszony przez Jadwigę Staniszkis przygotowałem referat o gospodarce na konferencję Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Miałem przedstawić diagnozę sytuacji. Panowało wówczas powszechne przekonanie, że gospodarka jest na progu kryzysu, ale nie bardzo wiedziano, na czym właściwie on polega. Mieliśmy mgłę przed oczami. Obłożyłem się rocznikami statystycznymi i zrobiłem serię zestawień podstawowych wielkości makroekonomicznych, poczynając od roku 1970. Pokazałem to wszystko wraz z interpretacją na konferencji, która się odbyła 11 maja. Referat był sukcesem, słyszałem sporo opinii, typu: „otworzył nam pan oczy". Istotnie statystyki oraz towarzyszące im fakty pokazywały dobitnie, że gospodarka ostro hamuje, a wkrótce zacznie pikować. I tak się stało. W następnych dwóch latach przeżyliśmy największe w historii Polski Ludowej załamanie ekonomiczne, głębsze niż tak zwany kryzys transformacyjny po roku 1989.

U boku Mazowieckiego

Zaczynam od tej, głośnej wówczas w Warszawie, konferencji, bo ona jest u początku drogi, która doprowadziła mnie do współtworzenia polskiej transformacji. Resztę roku 1979 poświęciłem na przerobienie referatu w książkę „Po wielkim skoku", która ukazała się w drugim obiegu nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej tuż przed Sylwestrem. Była wtedy najpełniejszą analizą polityki ekonomicznej Edwarda Gierka i do dziś jest jedną z głównych pozycji dotyczących tamtego czasu. Wiosną 1980 roku przeczytał ją Tadeusz Mazowiecki, zrobiła na nim wrażenie. Wskutek tego w sierpniu 1980 roku wezwał mnie do stoczni gdańskiej i poprosił, abym dołączył do Komisji Ekspertów przy MKS – Gdańsk. To był początek bardzo bliskiej, wieloletniej z nim współpracy i przyjaźni. Kiedy więc w sierpniu 1989 roku został premierem, znalazłem się w najściślejszym kręgu współpracowników, biorąc udział w tworzeniu

programu i składu rządu, głównie, choć nie tylko, w części ekonomicznej.

Doświadczenia w pracy dla władzy wysokiego szczebla mieć nie mogłem. Od połowy lat 60. byłem zaliczony do wrogów socjalizmu, więc pracowałem raz w fabryce w Ursusie, innym razem w miejskich pralniach, a nawet w domu mody „Leda". Mimo to czułem, że jestem dobrze przygotowany do sprostania wymaganiom, które przede mną stanęły. Podobnie sytuacja wyglądała z pozostałymi członkami gabinetu - nigdy nie rządziliśmy, ale rządzenie rozumieliśmy. A praktykę zdobyliśmy szybko.

Miałem za sobą piętnaście lat analizowania gospodarki polskiej i pisania o niej. Uważnie śledziłem z Paryża – w którym mieszkałem od roku 1982 – sytuację gospodarczą i wydarzenia polityczne w ostatnich latach PRL. Widziałem postępującą degradację potencjału gospodarczego („rdzewienie gospodarki") i coraz większe rozprzężenie wyrażające się rosnącą inflacją. Wiele miesięcy poświęciłem na poznawanie prób stabilizowania inflacyjnych gospodarek krajów Ameryki Łacińskiej takich jak Argentyna, Brazylia, Boliwia, Peru, Wenezuela, Chile. Miało to ważne znaczenie dla porad, które dawałem później premierowi.

Znałem dobrze ustalenia ekonomiczne Okrągłego Stołu (OS) i miałem o nich złe zdanie. Były wewnętrznie sprzeczne – zawierały z jednej strony elementy radykalnej reformy gospodarczej, ale ciągle bez ostatecznego zerwania z istniejącym systemem, a z drugiej rozległe koncesje socjalne uniemożliwiające jej przeprowadzenie. Polityka wyprowadzona z tych ustaleń prowadziłaby do jeszcze większego chaosu w gospodarce. Na szczęście pierwszą, reformatorską i ciągle w istocie socjalistyczną część ustaleń Okrągłego Stołu pisaną z założeniem, że rządzić będzie nadal PZPR przekreślił bieg wydarzeń. Drugiej, socjalnej, której pilnować miała „Solidarność", rząd Mazowieckiego nie odrzucił, lecz rozważnie o niej zapomniał. Był za to potem krytykowany. Lepiej jednak, że z tego powodu, a nie za klęskę, którą spowodowałoby podążanie tropem zapisów OS.

Żadnych Trzecich Dróg

Byłem jedynym ekonomistą u boku premiera. Tadeusz Mazowiecki chciał

wiedzieć, co w sprawach gospodarczych musi być zrobione. Nie trzeba było podpowiadać, bo to było oczywiste, że musi być opanowana inflacja. Już wcześniej wysoka i rosnąca, po uwolnieniu cen żywności przez politycznie bezsilny rząd Mieczysława Rakowskiego wzrosła do 20 – 30 proc miesięcznie i zamieniała się w hiperinflację. Dla nas, współpracowników premiera, ale i większości członków Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego (OKP) jasne było też, że gospodarki socjalistycznej reformować, choćby i radykalnie, nie chcemy i nie będziemy, lecz przekształcimy ją w gospodarką wolnorynkową. Takiego określenia używaliśmy wtedy w ślad za premierem. Tadeusz Mazowiecki jako chrześcijanin z lewicowym nachyleniem, słowa kapitalizm nie lubił z powodów ideologicznych. Unikał go również z powodów taktycznych. Nie chciał, w sytuacji ciągle niepewnej politycznie, głównie w ZSRR, wywoływać groźnych dla pierestrojki skojarzeń i reakcji. Bo od tego, czy Gorbaczowowi uda się ją kontynuować zależała wtedy sytuacja w całym bloku wschodnim. Lepiej było dmuchać na zimne.

Otwarty był problem wyboru drogi dla osiągnięcia obu celów, bo one same w Mazowieckim nie budziły wątpliwości. I tutaj, zważając, by nie ulec naturalnej chęci pokazania się ważniejszym niż byłem, mogę powiedzieć, że rola moja była jednak dość ważna. Pierwszym zadaniem państwowym, które wykonałem w życiu, było napisanie projektu ekonomicznej części sejmowej deklaracji Tadeusza Mazowieckiego wygłoszonej 25 sierpnia 1989 roku, gdy Sejm rozpatrywał wniosek o powierzenie mu misji tworzenia rządu. Tej, w której znalazła się, wypaczona potem przez przeciwników Mazowieckiego, fraza o „grubej linii" przemianowanej przez nich czujnie na chwytliwszą medialnie „grubą kreskę". Zaproponowałem do ekonomicznego fragmentu deklaracji następujące priorytety (cytaty z tekstu):

– *przywrócenie Polsce instytucji gospodarczych od dawna znanych i sprawdzonych... Powrót do gospodarki rynkowej oraz roli państwa zbliżonej do rozwiniętych gospodarczo krajów*

– *przywrócenie równowagi i zdławienie inflacji. Nierównowaga i inflacja wzmagające napięcia społeczne mogą podminować polski marsz ku wolności*

– uzyskanie dla Polski jak największego wsparcia ekonomicznego społeczności międzynarodowej we wszystkich możliwych postaciach.

Był też jeden ważny warunek ograniczający – żadnych trzecich dróg, bo „polski nie stać już na ideologiczne eksperymenty". Zaproponowałem premierowi taki zapis, aby odciąć rząd od pokus wykorzystywania czasu wielkiej zmiany dla realizacji różnych wizji „prawdziwego socjalizmu". Takie pomysły płynęły głównie od środowisk lewicowych, najczęściej z Zachodu, spragnionych, by wreszcie potwierdziły się gdzieś wizje świata lepszego niż kapitalizm. Widziałem w tym groźbę zboczenia na manowce, zmarnowania cennego czasu i szansy. W tej sprawie miałem dla proponujących prostą odpowiedź – wypróbujcie najpierw na sobie i u siebie. Uważałem, że naszym zadaniem jest zbudowanie podstawowego oprzyrządowania instytucjonalnego dla gospodarki rynkowej z dominacją własności prywatnej. Natomiast spór i rozstrzyganie o tym, czy powinna ona ewoluować bardziej ku modelowi skandynawskiemu, czy anglosaskiemu należało zostawić następnym rządom, lub wręcz następnemu pokoleniu.

Inflację trzeba udusić

Premier przyjął te propozycje niemal bez zmian, co nie znaczy, że w tym momencie wiedział ze szczegółami, co trzeba będzie zrobić i się na to godził. Wtedy był już w Polsce Jeffrey Sachs, 35 – letni ekonomista z Harwardu, znany na świecie dzięki roli w opanowaniu hiperinflacji w Boliwii w roku 1985. Sachs, osobowość charyzmatyczna, przebojowa i bardzo medialna szybko upowszechnił nad Wisłą i wśród znacznej części posłów, nie tylko z OKP, ale i z lewicy, koncepcję „terapii szokowej". Tak literacko nazywano ideę zduszenia inflacji pakietem narzędzi wprowadzonych jednocześnie, połączonych z szybkim, choć oczywiście rozłożonym w czasie, przebudowywaniem systemu gospodarczego. Premier wiedział, że taka koncepcja jest lansowana, ale nie rozumiejąc jej dobrze, był wobec tego pomysłu nieufny. Wątpliwości wzmocniło dodatkowo powołanie w końcu sierpnia przez OKP „Zespołu Ratowania Gospodarki" z profesorem Januszem Beksiakiem na czele. Zespół

miał opracować program stabilizacji i przekształceń systemowych, a potem przekształcić się w fachowe zaplecze (złożone, fakt, z uznanych ekonomistów) dla osoby odpowiadającej w rządzie za gospodarkę. Część OKP, związana z dawną opozycją KOR-owską, widziała w tej roli Jacka Kuronia, w randze wicepremiera, wspartego przez ekonomistę i publicystę Aleksandra Paszyńskiego w randze ministra gospodarki (dostał u Mazowieckiego resort budownictwa). Naciskano też, by od razu Beksiak w imieniu rządu wystosował list do Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW) z prośbą o przysłanie misji i pomoc finansową. Podsuwano nawet gotowy projekt, który mieli zawieźć do Waszyngtonu Jeffrey Sachs i jego pomocnik Dawid Lipton. Mazowiecki zignorował te pomysły, uważając, że chce się w ten sposób tworzyć rząd za niego i z faktycznym centrum decyzyjnym raczej w Sejmie, czy mówiąc ściślej, w owej naciskającej go części OKP, niż w Urzędzie Rady Ministrów (URM).

Pierwszą rzeczą, którą starałem się zrobić, podzielając zdanie Premiera o owej inicjatywie, było przekonanie go, że filozofia terapii szokowej jest słuszna, bo – i tu powtarzałem to, co dało mi studiowanie inflacji w Ameryce Łacińskiej – nie można wygrać z nią przez zwiększanie podaży. Na to zaś kładła akcent strona solidarnościowa, obawiając się firmowania działań niepopularnych i bagatelizując fakt, że wzrost podaży wymaga czasu, a inflacja puszczona wolno rośnie błyskawicznie.

Pewnego razu, późnym wieczorem, w wypoczynkowej części gabinetu premiera, przy marnym albańskim koniaku „Skanderbeg" mówiłem mu: - *musisz takim, czy innym sposobem wyjąć ludziom z portfeli z jedną trzecią pieniędzy, zgromadzić je pod Pałacem Kultury, podpalić i nie dopuścić, żeby się za szybko w portfelach odradzały. Jeśli tego nie zrobisz, to nic nie zrobisz.*

To zadanie z punktu widzenia ekonomicznego jest proste do zrobienia, ale z politycznego straszliwie trudne. Powtarzałem niemal dosłownie zdanie z audycji, którą nadałem z Paryża na falach Radia Wolna Europa w końcu kwietnia 1989 roku. Reakcją było stanowcze „nie", bo przecież nie będzie na to przyzwolenia społecznego. Jednak wyczuwałem – znaliśmy się już dawno – że w świadomości i sumieniu premiera

dojrzewa myśl, iż mimo jego wrażliwości na ludzką dolę nie będzie miał innego wyjścia niż posłuchać tej rady. Jeszcze zanim pojawił się Leszek Balcerowicz, zaczął mówić, że szuka swojego Ludwiga Erharda (minister finansów, który w rządzie Konrada Adenauera przeprowadził w 1948 roku radykalną i bolesną reformę pieniężną, połączoną z daleko idącą liberalizacją gospodarki). Powtórzył to podczas pierwszej rozmowy z Balcerowiczem 31 sierpnia. Z całą pewnością miał na myśli uzdrowienie pieniądza, czyli walkę z inflacją, a nie tworzenie społecznej gospodarki rynkowej, której skądinąd był zwolennikiem. Nawiasem mówiąc, Erhard rozumiał ją zupełnie inaczej niż jej dzisiejsi lewicowi orędownicy, także i Mazowiecki. Dla nich społeczna znaczy bardziej państwowa, dla niego społeczna to była bardziej rynkowa i przez to właśnie bliższa ludziom, społeczeństwu. Odchodzono wszak od zetatyzowanej, wojennej, a więc niespołecznej gospodarki III Rzeszy.

Balcerowicz na pokładzie

Uczestniczyłem także w poszukiwaniu wykonawcy polityki ekonomicznej. Podsuwano nam różne nazwiska, często dziwne, nie będę ich tu wymieniał. Zupełnie nie pasowałyby do tego, co zamierzaliśmy robić. Konkretne rozmowy premier przeprowadził z profesorem Witoldem Trzeciakowskim, dobrym, wówczas 63-letnim, ekonomistą. Jego kandydatura nasuwała się siłą rzeczy, był bowiem w obradach Okrągłego Stołu przewodniczącym zespołu do spraw gospodarki i polityki społecznej. Pan Witold, sceptyczny wobec radykalnych rozwiązań nie za bardzo pasował do kierunku, jakim mieliśmy iść w gospodarce. Zapewne właśnie z tego powodu odmówił i podsunął kandydaturę Cezarego Józefiaka, również uczestnika OS po stronie społecznej, ekonomistę bardzo dobrego i znacznie bliższego zamierzonemu kursowi. Jednak i on nie przyjął propozycji premiera. Moim zdaniem tym dwóm wybitnym ludziom za owe odmowy należy się uznanie. Jest bardzo prawdopodobne, że mogliby nie wytrzymać obciążeń psychicznych, przed jakimi stanąć musiał każdy, kto podejmował się iście piekielnego wysiłku stawiania gospodarki z głowy na nogi, lub jak mawiano „robienia z zupy rybnej akwarium”. Dokładnie z tego powodu, z obawy, że

przez niewystarczająco silny upór i nerwy przyłożę rękę do jakiejś porażki nie tylko swojej, lecz i powszechnej, także ja nie podjąłem danej mi przez premiera szansy. Zaproponowałem Leszka Balcerowicza, wówczas jeszcze niezbyt znanego 42- letniego ekonomistę. Wiedziałem, kim jest, ale jego nazwiska nie słyszałem na ówczesnej „ministerialnej giełdzie", a Mazowiecki prawie w ogóle go nie kojarzył. Szczegóły powołania Balcerowicza do rządu opisałem w „Zwierzeniach Zausznika" (Warszawa 1992), a także we fragmencie mojego dziennika opublikowanego w „Rzeczpospolitej" w 15 rocznicę powołania tamtego rządu („Szycie rządu" – 11.09.2004). Nie będę więc do tego wracał.

Premier znalazł swojego Erharda, ale jego wątpliwości pozostały. Jeszcze 3 września, gdy już od dwu dni szefem ekipy gospodarczej był Leszek Balcerowicz, zdecydowany zdusić inflację jednym ciosem, notowałem w dzienniku: „Nie jestem pewien, czy szef pójdzie na „skok antyinflacyjny", a w każdym razie nie pójdzie na niego ani łatwo, ani tym bardziej naiwnie, jak to trochę wyobrażają sobie Sachs, Jacek Kuroń, a nawet Leszek. Mazowiecki nie pójdzie na frontalne zderzenie z opinią publiczną, będzie działał w miarę przyzwolenia społecznego. Mówi przecież o sobie, że działa, jak Kutuzow".

W końcu poszedł na frontalne zderzenie i tę decyzję podjął w konflikcie z samym sobą, co uważam za znak klasy, wręcz wielkości. Choć, jak sądzę, Mazowiecki do dziś nie jest pewny, czy postąpił słusznie. Często przy różnych okazjach wyraża swoje wątpliwości, mówiąc o nadmiernych kosztach transformacji. A przecież nikt wtedy nie wiedział, jakie byłyby w sam raz. Mazowiecki daje tymi wątpliwościami okazję do powoływania się na niego przeciwnikom tego kursu, jaki przyjął jego rząd i on sam. Ilekroć więc zapraszam go do siebie na flaki (którymi się zajada, szczegolnie robionymi przez moją żonę) wypominam mu, że mógłby już przestać wątpić w to, co zrobił, bo bez jego decyzji i wsparcia nie udałoby się tak, jak się udało. Nawiasem mówiąc uważam, że w piśmiennictwie o początkach transformacji, szczególnie w publicystyce niesprawiedliwie pomijana jest rola Mazowieckiego. Bez jego wsparcia, mimo napięć, które istniały między nim a Balcerowiczem, ówczesny program gospodarczy nie

zakończyłby się sukcesem. Jeżeli już się personifikuje czyn historyczny, to przestawienie polskiej gospodarki na kapitalizm jest dziełem Balcerowicza i Mazowieckiego (wymieniam ich tu alfabetycznie).

Róże Rakowskiego.

Nie można też zapominać o wkładzie rządu Mieczysława Rakowskiego, choć sugestie, które się przy okazji 20 rocznicy „planu Balcerowicza" pojawiły, że główną robotę zrobił tamten właśnie rząd są pozbawione podstaw. Wynikają z niewiedzy, albo z pragnienia, by pomniejszyć rolę rządu Mazowieckiego i rolę Balcerowicza, bo uważa się – nie wiem dlaczego - ich politykę za neoliberalną, a neoliberalizmu się nie lubi.

Wkładem rządu Mieczysława Rakowskiego są dwie ustawy i jedna decyzja. Ustawa o działalności gospodarczej (Mieczysława Wilczka, ministra przemysłu) wprowadziła daleko idącą swobodę dla działalności biznesowej przez osoby prywatne. Można powiedzieć, że otwierała drogę do wolności gospodarczej, ale aby ta wolność mogła zaistnieć praktycznie trzeba było zrobić jeszcze o wiele więcej. Ustawa o systemie bankowym podzieliła NBP na bank centralny, mający pilnować wartości pieniądza i na dziewięć banków komercyjnych. To był pierwszy krok w reformie bankowości. Natomiast uwolnienie cen żywności, zasadniczo słuszne, lecz niepowiązane ze zdyscyplinowaniem płac i dochodów, na co rząd Rakowskiego nie miał politycznej siły, a może i ochoty, uruchomiło hiperinflację. Skutki tej decyzji bardzo skomplikowały robotę rządowi Mazowieckiego i powiększyły społeczne koszty transformacji.

Wspólną cechą tych trzech posunięć była ich społeczna łatwość - ustawa Wilczka budziła wielki aplauz, ustawa bankowa była społecznie obojętna, liberalizacja cen żywności bardzo uradowała rolników i początkowo w ograniczony sposób uderzyła w konsumenta miejskiego, którego płace i dochody były ciągle wysoko indeksowane. Rząd Rakowskiego wprowadził mile widzianą przez społeczeństwo, populistyczną część reformy. Dał coś jak niezbędne w bukiecie płatki róż, zostawiając następcom konieczność dołożenia kolców, także niezbędnych.

Sztabowcy Balcerowicza

Balcerowicz miał dwa sztaby: „techniczny” w Ministerstwie Finansów oraz „polityczny” w Urzędzie Rady Ministrów. Siedzibę w URM, oraz zachowanie i przewodnictwo KERM (Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, ciała koordynacyjnego, ale nie decyzyjnego) zastrzegł sobie w pierwszych rozmowach z premierem jako warunek wejścia do rządu. Żądanie Balcerowicza miało uzasadnienie; siedziba w URM i kierowanie głównym gremium koordynacji ekonomicznej, jakim był KERM, dawało mu rzeczywisty wpływ na cały gospodarczy segment rządu. A to było niezbędne, żeby mógł zmierzyć się ze stojącym wyzwaniem. To był czas wymagający zwartości ekipy gospodarczej. Mazowiecki zgodził się na ten warunek niechętnie, widząc w nim, nie bez podstaw, które zresztą potwierdziła przyszłość, ryzyko powstania w siedzibie premiera czegoś w rodzaju odseparowanego rządu gospodarczego. Aż tak daleko to nie poszło, ale wykorzystywanie tej struktury dla prób brania premiera i rządu „pod but” przez wicepremiera i ministra finansów miało miejsce i na tym tle napięcie istniało do końca. Nigdy jednak, dzięki odpowiedzialności obu głównych aktorów, nie przerosło w konflikt, który by poważnie zakłócił działanie całego rządu, czy realizację programu gospodarczego.

Najważniejszą osobą (w randze dyrektora generalnego) w URM-owskim sztabie Balcerowicza był jego były uczeń z SGPiS wówczas 36-letni Jerzy Koźmiński. Bardzo sprawny urzędnik, ze smykałką do polityki, koordynujący całość działań związanych z programem gospodarczym. Do jego zadań należało także przeciwdziałanie próbom poluźnienia pakietu reform przez posłów podczas prac sejmowych.

Ważną postacią był Alfred Bieć, sekretarz KERM świetnie orientujący się we wszystkich zakamarkach rozległej struktury państwowej i wiedzący, co i kogo w razie potrzeby „uruchomić”. W Ministerstwie Finansów pierwszy po Leszku był początkowo Marek Dąbrowski, ekonomista przepoczwarzający się wtedy szybko ze zwolennika samorządu pracowniczego w ultraliberała. Został jednak potem odsunięty na dalszy plan wskutek konfliktu z Balcerowiczem. Dąbrowski był upartym zwolennikiem

jeszcze większego dociśnięcia śruby i niemal natychmiastowego rozpoczęcia operacji antyinflacyjnej, co chyba nie było słuszne. Krążyła anegdota, że wedle niego dobry budżet ma tylko stronę dochodową, a w wydatkach jedną pozycję – na policję. To oczywiście był żart. Zastąpił go Wojciech Misiąg, wysokiej klasy specjalista od finansów państwa. O nim z kolei mawiano, że potrafiłby zrobić budżet z niczego. Dużym zaufaniem cieszył się Stefan Kawalec, flegmatyczny i małomówny, ale z wybitnym potencjałem wiedzy i inteligencji. Miał ksywę „cichociemny". Z doradców zewnętrznych ważną rolę, być może nawet niedocenioną, bo przyćmiła go para Sachs-Lipton, odgrywał Stanisław Gomułka, ekonomista z LSE (London School of Economics), emigrant 1968 roku. W marcu tamtego roku jedliśmy razem zupę pomidorową z makaronem w piwnicznym areszcie Pałacu Mostowskich. Była całkiem niezła.

To Gomułka napisał pierwsze memorandum polskiego rządu do Międzynarodowego Funduszu Walutowego, z którym już w dwa tygodnie po utworzeniu gabinetu Mazowieckiego, Balcerowicz pojechał do Waszyngtonu (na coroczną sesję MFW), prosząc o przysłanie misji Funduszu i udzielenie pomocy finansowej (a także dolarów na leki i inne pilne potrzeby, bo zielonych w kasie państwa nie było). Gomułka brał później udział w dyskusjach nad konkretyzacją tego, co media nazwały „Planem Balcerowicza". Ważni byli też wspomniani wyżej Jeffrey Sachs i David Lipton, często jednak błędnie przedstawiani jako goście z zewnątrz niemal dyktujący polskim władzom, co mają robić w gospodarce. To nieprawda głoszona głównie przez krytyków Balcerowicza. Sachs zrobił dużo dobrego dla Polski, także za granicą, propagując nasz program i zabiegając o jego finansowe wsparcie oraz zmniejszenie polskich długów, ale narzucić czegokolwiek Balcerowiczowi nie mógł.

Bardzo ważną funkcję, techniczną i merytoryczną pełniła misja Funduszu Walutowego, która przyjechała do Polski 15 października 1989 roku. Ona rzecz jasna miała coś do powiedzenia, działając w imieniu Funduszu, od którego chcieliśmy pieniędzy i poręki, że idziemy w dobrym kierunku, koniecznej dla zabiegów także o inne wsparcie, a potem o redukcję zadłużenia gierkowskiego. Po jej przyjeździe tempo

prac nad programem uległo przyspieszeniu. Powołano grupy robocze do opracowania poszczególnych elementów programu antyinflacyjnego i transformacyjnego. Wiceminister Janusz Sawicki kierował zespołem do spraw kursu walutowego, dyrektor Stefan Kawalec pracował nad hamulcem płacowym, mutacją słynnego „popiwku" wprowadzonego kilka lat wcześniej. Wiceminister Jerzy Napiórkowski i dyrektor Danuta Demianiuk przygotowywali zmiany w podatkach, wiceminister Andrzej Podsiadło pracował nad naprawą przedsiębiorstw państwowych zagrożonych bankructwem. Poza Kawalcem byli to urzędnicy jeszcze z PRL-owskiego awansu, których Balcerowicz zatrzymał i którzy okazali się bardzo sprawnymi. Na temat administracji PRL krąży do dziś wiele przesadnych, niesprawiedliwych opinii. Nie była ona taka zła.

Ważną rolę, nie tyle w opracowywaniu programu, co w stosunkach ze związkami zawodowymi, a także w odpieraniu zakusów ministrów na finanse publiczne odgrywał powolny w mowie wiceminister Ryszard Pazura, też ze starego zaciągu, często uczestniczący w posiedzeniach Rady Ministrów. Żartowano, że monotonną retoryką usypiał każdego związkowca i ministra. Nikt jednak w kontrowaniu apetytów na pieniądze publiczne nie mógł zastąpić Marka Dąbrowskiego. Na dyskretny ruch palcem wicepremiera Balcerowicza siedzącego po przeciwległej stronie stołu w sali świetlikowej URM, gdzie obradował rząd, zaczynał przemowę, zwykle długą, dowodzącą, jak nieprzyzwoite jest żądanie pieniędzy z budżetu. Jej sens zawsze kończył się pokazaniem słownego „gestu kozakiewicza" ministrowi, który chwilę wcześniej chciał grzebać szefowi finansów w kieszeni. Ów gest Leszka i automatycznie podniesiona ręka Dąbrowskiego proszącego o głos zawsze wywoływała rozbawienie premiera. Innych też, poza delikwentem, którego ów gest czekał.

Zatykanie dziur w statku

Przyspieszenie prac na skutek przyjazdu misji MFW, nie tylko przecież technicznej, ale i merytorycznej, a właściwie negocjacyjnej było zrozumiałe. Fundusz, jak już wspomniałem, dawał pieniądze i porękę. Dlatego oczekiwał od rządu

opracowania programu, który by spełniał także jego wymagania. Tym, co odróżniało Polskę od wielu innych krajów występujących o wsparcie MFW był przyjazny charakter współpracy. Nie witaliśmy misji, co często zdarzało się gdzie indziej, jako przedstawicieli kapitalistycznych wampirów pragnących za garść dolarów wypić krew narodu, szczególnie jego biednej części. Generalnie myśleliśmy podobnie, jak oni. Nie musieli więc nam niczego tak bardzo narzucać. Ale był też drugi powód przyspieszenia, a mianowicie niewielki luz, jaki powstał w bilansie czasu pracy ekipy gospodarczej po załataniu najgroźniejszych dziur w tonącej gospodarce. Bardzo groźna była budżetowa katastrofa przyspieszona przez przejście wysokiej inflacji w hiperinflację. Umiarkowana inflacja sprzyja budżetowi, bo podnosi jego dochody bardziej niż zwiększa wydatki. Hiperinflacja odwrotnie, szybko go dewastuje, bo wymusza indeksację dochodów ludności i skłania do odraczania regulacji wszelkich zobowiązań, prywatnych i publicznych, by zapłacić bardziej zdeprecjonowanym pieniądzem. Piątego września 1989 roku znalazłem na biurku premiera list Prezesa NBP, profesora Władysława Baki, że przyznany budżetowi kredyt został wyczerpany. Brakowało pieniędzy na wszystko. Pierwszą rzeczą było więc minimalne choćby napełnienie kasy państwowej. Błyskawicznie przygotowano prowizorium budżetowe na październik i nowelizację budżetu do końca roku. Zrobiono to występując o zwiększenie kredytu z NBP, czyli o dodruk pieniędzy, z którym właśnie zamierzano skończyć, ale na razie to było jedyne wyjście. Jednocześnie podjęte zostały pierwsze decyzje idące w kierunku przyszłej reformy, zmniejszające wydatki państwa. Zniesiono więc dotacje do różnych sektorów gospodarki, a także przyśpieszono terminy płacenia zaliczek na podatki. Jeden z dawnych rządowych ekonomistów opowiadał mi, z jakim osłupieniem i podziwem na przemian patrzał, jak Marek Dąbrowski jednym pociągnięciem pióra odcina od garnuszka państwowego różnych beneficjentów, czego wcześniej, mimo że byłoby to pożądane, nikt nie miał odwagi zrobić. Oczywiście nie można wykluczyć, że przy takim rąbaniu drew, wióry tu i ówdzie też leciały. Ktoś mógł zostać pozbawiony wsparcia bezpodstawnie, ale drewno musiało być tak czy owak porąbane i to bez zwłoki. Rząd wystąpił również do Sejmu o ograniczenie indeksacji płac i dochodów rozszerzonej

przez Okrągły Stół. Chodziło o to, by nie uwzględniać w podstawie indeksacji podwyżek płac uzyskanych w drodze presji załóg na dyrekcje przedsiębiorstw. Dzięki tym i innym jeszcze decyzjom przyhamowano nieco pod koniec roku tempo wzrostu cen, mając jednak świadomość, że to jest efekt chwilowy, bo źródła destabilizacji nie zostały zamknięte.

Jak daleko, jak ostro?

Najważniejszą osią dyskusji nad programem było pytanie, jak ostro należy pójść w nakładaniu inflacji wędzidła – czy wzrost płac ma być hamowany administracyjnie, a jeśli tak, to jak mocno. Jak wysokie mają być podwyżki utrzymanych cen urzędowych, głównie węgla i energii elektrycznej. Czy jednolity kurs waluty ma być płynny, czy ustalony administracyjnie, a jeśli tak, to na jakim poziomie i na jaki czas. Dość szybko odpadła koncepcja puszczenia płac na żywioł, nazywana wtedy wariantem thatcherowskim (od nazwiska brytyjskiej premier, która go kiedyś zastosowała), proponowana również w programie wspomnianego Zespołu Ratowania Gospodarki profesora Beksiaka. Obawiano się słusznie, że dyrekcje przedsiębiorstw państwowych, nie mając motywacji właścicielskich, łatwo ulegną presji załóg na podwyższanie zarobków w ślad za wzrostem cen. W konsekwencji zabrakłoby im środków obrotowych, co spowodowałoby groźbę masowych bankructw i żądania pomocy od państwa. Powstałaby bardzo silna presja społeczna, która załamałaby program gospodarczy. Dlatego przyjęto słusznie koncepcję administracyjnego hamulca płac, z wykorzystaniem w tej roli istniejącego od kilku lat podatku od ponadnormatywnego wzrostu wynagrodzeń (literacko „popiwku"). Odrzucono też kurs płynny na rzecz stałego kursu złotego ustalanego przez NBP i Ministerstwo Finansów. Kurs płynny, zmieniając się zależnie od sytuacji rynkowej, nie pełniłby roli czynnika hamującego wzrost cen, nie byłby, jak mawiano kotwicą antyinflacyjną.

W toku prac nad programem był on zaostrzany dosyć zgodnym przekonaniem ekspertów MFW, Sachsa i Liptona, doradzających Balcerowiczowi i przede wszystkim jego samego, co miało znaczenie decydujące. Pierwszy wariant, dyskutowany w końcu

października, już z udziałem ekspertów Funduszu, ale opracowany wyłącznie przez stronę polską, zakładał łagodne schodzenie z inflacją, która w grudniu 1990 roku miała wynieść 572 proc. w stosunku do grudnia 1989 roku. W wariancie ostatecznym ceny miały być wyższe o 95 proc. W pierwszej wersji płace realne miały spaść o 8 proc., w ostatecznej o 20 proc. (faktycznie spadły o 25 proc.). Oba wskaźniki dobrze pokazują skalę zaostrzenia. Jest oczywiste, że wersja mocniej tłumiąca wzrost cen prowadziła też do większego spadku dochodu narodowego, produkcji i do większego bezrobocia. Za zaostrzaniem kryła się racjonalna myśl oparta na wnioskach z wielu wcześniejszych polityk antyinflacyjnych, a mianowicie, że lepiej jest program „przesolić", czy przestrzelić, jak pisali i nadal piszą jego krytycy, niż „niedosolić". Na dodatek przygotowując go nie ma się pewności, czy wystarczy, czy za mało, czy za dużo, co sprzyja raczej zaostrzaniu niż łagodzeniu. Program, który okaże się nadmiernie ostry można łatwo złagodzić i jeszcze uzyskać dla władzy polityczny zysk z tego złagodzenia. Natomiast program zbyt łagodny, który destabilizacji nie zlikwiduje, a nawet wtedy jest dla ludności dotkliwy, w końcu musi być zaostrzony, co tylko zwiększa dolegliwość i jest politycznie niezwykle trudne do przeprowadzenia. I tego właśnie bardziej niż nadmiernej ostrości bał się Leszek Balcerowicz.

„Jestem gotów to zrobić"

Na początku grudnia 1989 roku program, ujęty w dziesięć projektów ustaw, był gotów i wszedł na posiedzenie Rady Ministrów (6 oraz 13 i 14 grudnia). Nie pamiętam szczegółów dyskusji, ale pamiętam moje ogólne wrażenie. Panowała niezwykła dysproporcja pomiędzy wagą rozpatrywanych projektów i ogromem zmian, jakie miały być wprowadzone, a miałkością dyskusji i wnoszonych poprawek. To był efekt może nie tyle braku świadomości, jak wielka rewolucja się szykuje, ale raczej poczucia braku kompetencji, by móc się odnieść do tych projektów. Brak kompetencji Rady Ministrów jako ciała zbiorowego jest naturalny, bo przecież ministrowie nie są omnibusami. Wtedy jednak był szczególnie jaskrawy, być może również dlatego, że w tych ustawach zawarta była wiedza ekonomiczna z importu, którą posiadała już większość krajowych

ekonomistów, ale której bardziej powszechnie i praktycznie mieliśmy zacząć się uczyć od 1 stycznia 1990 roku. W każdym razie najbardziej burzliwą dyskusję na posiedzeniu Rady Ministrów 6 grudnia 1989 roku, rozpatrującej podstawowe projekty reformy, wzbudził mający z nią niewiele wspólnego projekt ustawy o sprzedaży samochodów osobowych na przedpłaty wniesione w roku 1981. Ministrowie „przyklepali" rewolucję gospodarczą, a nie byli w stanie zgodzić się na wycofanie dofinansowania budżetowego do tych przedpłat, bo zobowiązanie państwa jest święte. Nie kpię, to był rzeczywiście problem; konflikt pustej kasy z wiarygodnością władzy.

Prace nad programem i negocjacje z Funduszem Walutowym miały się ku końcowi, gdy zjawił się w Polsce jego szef, Michel Camdessus, być może po to, żeby na miejscu przekonać się, czy rząd jest dostatecznie zdeterminowany, aby zrobić to, co było zaplanowane. Jedenastego grudnia przyjął go premier. Byłem przy tej rozmowie. Camdessus długo opisywał całą operację, jakby sądząc, że premier może nie mieć o niej pełnego wyobrażenia. Potem Mazowiecki pytał, on odpowiadał, a na koniec zwrócił się do premiera (przytaczam tu fragment „Zwierzeń Zausznika" napisanych w 1991 roku, a więc na świeżo): – Czy Pan, Panie premierze jest zdecydowany przeprowadzić te posunięcia? Premier spojrzał na podłogę, siedzieli obok siebie na kanapce, pochylił się nieco, trzymając dłonie między kolanami, a potem już wyprostowany spojrzał na Camdessus, pokiwał głową i powiedział spokojnie: – Tak, jestem zdecydowany to zrobić. Na co przewodniczący Funduszu: – Jestem pewien, że wybiera Pan właściwą drogę dla swojego kraju. Ja i Fundusz jesteśmy z Panem. Wstaliśmy, panowie podali sobie ręce, w sali powiało wielkim wydarzeniem historycznym.

Dziesięć ustaw przewrotu.

Siedemnastego grudnia 1989 roku Leszek Balcerowicz w historycznym przemówieniu przedstawił pakiet ustaw wnosząc o to, by został uchwalony i podpisany przez prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego przed pierwszym stycznia tak, by nowa rzeczywistość zaistniała z nowym rokiem. To było owo słynne przemówienie, w którym mówił, że odchodzimy od systemu, w którym ludzie udawali, że pracują, a

państwo udawało, że płaci, a my chcemy zastąpić życiem udanym życie udawane.

Pakiet miał zrealizować trzy generalne cele. Po pierwsze zlikwidować hiperinflację – z dniem pierwszego stycznia uwolniono wszystkie niemal ceny, zachowując pewne narzędzia dyscyplinujące i podniesiono cztery – pięć razy urzędowe ceny węgla i elektryczności. Wprowadzono zakaz finansowania deficytu budżetowego przez bank centralny, czyli drukowania pustych pieniędzy (Ustawa o prawie bankowym). Wzrost płac (z wyłączeniem firm zagranicznych) przekraczający w styczniu 0,3, a w następnych trzech miesiącach 0,2 proc. wzrostu cen ostro opodatkowano popiwkiem (ustawa o podatku od wzrostu wynagrodzeń). Narodowy Bank Polski ustalił sztywny jednolity kurs w wysokości 9500 złotych za dolara, który miano utrzymać przez kilka miesięcy, a jednocześnie wprowadzono wewnętrzną wymienialność złotego połączoną z obowiązkiem odsprzedaży walut państwu przez firmy krajowe i zagraniczne (ustawy o prawie dewizowym i o działalności gospodarczej firm obcych).

Celem drugim było poddanie wszystkich niemal sektorów gospodarki zbliżonym, rynkowym warunkom działania. Wprowadzono możliwość upadku firm państwowych i ustalono procedury naprawcze (Ustawa o gospodarce finansowej przedsiębiorstw państwowych), stopę procentową podniesiono do 48 proc. wiążąc ją z oczekiwaną w styczniu 1990 inflacją i zniesiono preferencje kredytowe dla firm państwowych, zmieniając zawarte umowy kredytowe (Ustawa o kredytowaniu), ujednolicono płacenie podatków we wszystkich sektorach gospodarki (Ustawa o nowych zasadach opodatkowania), a także zasady clenia towarów z importu, dla wszystkich podmiotów gospodarczych (Ustawa o prawie celnym).

Cel trzeci miał wesprzeć ludzi tracących pracę, szukających jej i bezrobotnych. Służyć temu miała ustawa o zatrudnieniu reformująca biura pośrednictwa pracy oraz ustawa o szczególnych warunkach zwalniania pracowników, która regulowała tryb zwolnień grupowych i wprowadzała zasiłki dla bezrobotnych. Oba akty powstały w ministerstwie pracy kierowanym przez Jacka Kuronia. Niezmiernie szczodra, niedobra ustawa o zasiłkach dla bezrobotnych przeszła przez „balcerowiczowski filtr”,

prawdopodobnie przez niedopatrzenie i bardzo szybko trzeba było ją zaostrzać.

Ważnym chwytem było wyznaczenie przez Balcerowicza, za aprobatą premiera, „godziny zero”, czyli dnia wejścia w życie pakietu reform, na pierwszego stycznia 1990 roku. To był termin bardzo krótki na dopięcie wszystkiego, ale realny, więc mobilizujący. Do pośpiechu popędzały też toczące się mimo przeciwdziałań katastroficzne procesy w gospodarce. Oczywiście nic by się strasznego nie stało, gdyby wejście reformy w życie opóźniono o kilka tygodni, ale Balcerowiczowi udało się tym pierwszym stycznia zahipnotyzować niemal wszystkich. Panowało wrażenie, że jeśli nie zaczniemy z Nowym Rokiem, to będzie niemal koniec świata nad Wisłą, Armagedon. Ta hipnoza przyspieszyła niezwykle tempo prac parlamentarnych nad pakietem ustaw, a zostało na obróbkę, włącznie z Senatem i podpisem prezydenta dwa tygodnie. Oczywiście nie było mowy o wielkich konsultacjach społecznych i dzięki Bogu. Gdyby zaczęto konsultować tak surowy, a niezbędny program, nic by z niego nie wyszło. „Zakonsultowano” by się, jak później Jerzy Hausner ze znacznie łagodniejszymi projektami. Program przedstawił Lechowi Wałęsie Balcerowicz i dostał poparcie według zasady „jestem za, a nawet przeciw”.

W Sejmie zdecydowano powołać nadzwyczajną komisję do prac nad ustawami pod przewodem posła OKP Andrzeja Zawiślaka. Natomiast Aleksander Małachowski (OKP), w dyskusji nad powołaniem Komisji mówił, niewątpliwie pod wpływem owej „hipnozy nowego roku”, że „żaden normalny rząd i sejm nie powinien godzić się na takie przyspieszenie. Ale to nie jest normalny rząd. Przypadło mu wielkie zadanie wyprowadzenia kraju z zapaści i trzeba mu w tym pomóc”.

Szkoda, że jedenaście lat później nadmiernie i widać lewą nogą przebudzony z tej hipnozy żalił się,: „*Byliśmy trochę jak barany prowadzone na rzeź i ulegaliśmy obietnicom polityków mającym decydujący głos w praktycznym wcielaniu w życie szkodliwych rozwiązań*”. Ale i w tym złym przebudzeniu widać ślad magii 1 stycznia 1990 roku.

Ostatnie progi

Komisja Zawiślaka pracowała pod uważnym okiem czujek Balcerowicza wystawionych w sejmie, żeby czegoś posłowie nie popsuli, czyli nie poluzowali. Dzięki nim udało się zapobiec próbie podniesienia indeksacji płac. Wymagałoby to przeliczenia całego programu, bo był konstrukcją, u której podstaw leżały modele matematyczne, a ponadto ponownego negocjowania z misją Funduszu. W tym czasie w rządzie toczyła się sprawa listu intencyjnego do MFW, którego parafowanie przez ministra finansów i szefa NBP warunkowało uruchomienie wsparcia Funduszu. Negocjacje listu opóźniły się do 18 grudnia, budząc pytania w prasie światowej, czy aby coś się poważnie nie zacięło. Polska była wtedy na czołówkach mediów. Następnego dnia Balcerowicz w niemalże ultymatywnym tonem zażądał od premiera zgody na parafowanie dokumentu, z ominięciem Rady Ministrów. Przedstawił szefowi rządu przygotowane pospieszne polskie tłumaczenie, w którym wykropkowano miejsca, gdzie miały być później wstawione cyfry, bo jeszcze coś uzgadniano. Nie było także kryteriów wykonawczych, czyli zobowiązań rządu polskiego wobec MFW. Tak powstał najostrzejszy konflikt między nim i premierem, który zaczął się tlić bardzo szybko, bo Leszek Balcerowicz przekonany do swych racji prze do przodu „rozbijając ścianki działowe". To bywa siłą, ale nie zawsze. Premier wezwał go do siebie jeszcze tego dnia i w rzadko tak u niego ostrych słowach i tonie zwrócił mu uwagę, że próbuje postawić się ponad rządem. List intencyjny – jego zdaniem - będzie mógł być parafowany dopiero po tym, jak z jego pełną polską wersją zapozna się Rada Ministrów i jeśli to będzie wymagało odsunięcia daty wejścia programu poza pierwszy stycznia, to tak się stanie.

Następnego dnia konflikt był jeszcze ostrzejszy, bo Balcerowicz zagroził ujawnieniem go mediom, ale ta groźba dotarła tylko do mnie i przekonałem go, by tego nie robić. Nie mogę wykluczyć, znając Tadeusza Mazowieckiego, że gdyby zapowiedź została wykonana minister finansów mógł nawet stracić posadę, bo premier, jak go znam, nie dopuściłby do jego dominacji nad rządem i sobą. Ostatecznie konflikt udało się załagodzić i w dwa dni później Rada Ministrów, obradując nad pełnym, polskim tekstem listu intencyjnego wyraziła zgodę na jego parafowanie.

Niemalże w ostatniej chwili pojawiła się jeszcze jedna przeszkoda, a mianowicie sprzeciw Prezesa NBP, profesora Władysława Baki przed uruchamianiem programu zanim nie zostanie definitywnie utworzony tak zwany fundusz stabilizacyjny. Chodziło o miliard dolarów, który miał powstać ze składki zachodnich państw oraz instytucji na ewentualne podtrzymanie stabilności kursu polskiej waluty, czyli tych 9500 złotych za dolara. Ekonomia to kombinacja matematyki z intuicją. Modele opisujące tak gigantyczny układ jak gospodarka dają wyniki przypuszczalne. Reszta to wyczucie, nie było więc oczywiste, czy ów kurs 9500 złotych wykalkulowany w gabinetach, będzie zarazem kursem, który zaakceptuje rynek, pozwalając utrzymać wewnętrzną wymienialność złotego, jeden z kluczowych elementów reformy. By zapobiec jego załamaniu, potrzebna była kasa rezerwowa – właśnie ten miliard dolarów na wypadek, gdyby popyt na zielone przekroczył ich czysto rynkową podaż. Baka słusznie więc nie chciał ruszać bez tego arsenału. Przed samym końcem roku zachodni decydenci zaczęli być nękani telefonami od najważniejszych członków rządu i chyba również premiera. I w końcu udało się, otrzymaliśmy wiadomość, że stabilizacyjne dolary czekają w gotowości do polskiej dyspozycji.

Prezydent Wojciech Jaruzelski złożył swój podpis pod ustawami bez najmniejszej zwłoki i słowa sprzeciwu. Polska stała przed skokiem w rynek, w całkiem nową rzeczywistość gospodarczą.

„Za godzinę się zaczyna”

Przed nami było jeszcze Boże Narodzenie 1989 roku, pierwsze w całkowicie wolnej Polsce od roku 1939 i Sylwester. Dwudziestego dziewiątego grudnia prasa pisała „wszyscy boimy się tego, co nastąpi po pierwszym stycznia 1990 roku”. Rząd też miał gęsią skórkę. Wiele razy półżartem między sobą pytaliśmy się, jak długo jeszcze naród będzie nas tolerował w tych gabinetach, czy uda się nam przetrwać następne dwa tygodnie, ale tym razem było bardzo na serio. W Sylwestra wróciłem z Urzędu Rady Ministrów koło jedenastej wieczorem. Wszedłem do mieszkania, gdzie czekała żona, trójka dzieci i może jacyś goście, tego nie pamiętam. Wszedłem do pokoju,

popatrzyłem na zegarek i powiedziałem „No, za godzinę się zaczyna i zależnie od rozwoju wydarzeń, za pół roku albo nas powieszą, albo postawią nam pomniki”. Tego też nie pamiętałem, ale przypomniał ów epizod mój 43- letni dziś syn, teraz urzędnik wyższej rangi Unii Europejskiej, we wspomnieniu dla tamtejszego biuletynu.

Następnego dnia był Nowy Rok i naród odpoczywał po Sylwestrze, więc nie działo się nic specjalnego. Pierwsze sygnały napłynęły 3 stycznia z mediów i ze „Sztabu Interwencyjnego” – niewielkiego, bardzo operatywnego ciała, obradującego prawie zawsze pod kierownictwem Balcerowicza. Analizowano na bieżąco napływające informacje i podejmowano decyzje w różnych doraźnych sprawach (później, w miarę stabilizowania się sytuacji Sztab się rozrastał, biurokratyzował i tracił na znaczeniu, ale początkowo był bardzo ważny).

Z pierwszych informacji wynikało, że wszyscy są totalnie zdezorientowani. Nikt w kraju nie rozumiał nowych zasad działania gospodarki. Nie wiedziano, jak naliczać podatki, jakie są cła, sparaliżowana była obsługa bankowa, ze sklepów pośpiesznie wykupywano towary. A ceny rwały w górę. Lawina ruszyła – pisała Gazeta Wyborcza. Już pod koniec pierwszego tygodnia osiągnęły poziom 45-50 proc. założony w programie na cały miesiąc i dalej śmigały w górę w przerażającym tempie. Za to sklepy pozostawały pustawe. Wyższe ceny, puste sklepy – wydawało się, że gorzej być nie może. To były najbardziej nerwowe dni, bo nie wiedzieliśmy na pewno, czy program zadziała, a od razu odezwali się wieszcze katastrofy krzycząc, że trzeba się wycofywać. Spanikował także Jacek Kuroń, nieco wcześniej entuzjasta terapii szokowej, domagając się od Balcerowicza pilnego odwrotu.

„Staniały jaja na bazarach”

Jednak już w drugiej dekadzie stycznia obraz zaczął się zmieniać, ceny nadal rosły, ale sklepy zapełniały się towarami, a na ulicach rozkwitał handel łóżkowy, także mięsem, najbardziej „antyrządowym” dobrem z czasów PRL. Było go teraz co niemiara. Dolegliwość związana z rosnącymi cenami zaczęła być rekompensowana coraz lepszym zaopatrzeniem, całkowicie barbarzyńskim wobec tego, co mamy dzisiaj,

ale rewelacyjnym w stosunku do ostatnich miesięcy PRL. To był istotny moment, bo program zaczął pokazywać, że ma nie tylko kolce, lecz i zalety dla ludzi i one w następnych dniach ujawniały się coraz bardziej. Pamiętam, jak gdzieś w połowie stycznia, a może trochę poźniej, Alfred Bieć przyniósł wiadomość, która stała się w rządzie sensacją - „na bazarach staniały jaja". Ta wieść dziś urosła do rangi anegdoty. Ale dla nas była jak ptak, który usiadł na statku, wskazując, że jesteśmy niedaleko wyczekiwanego od dawna lądu. To był pierwszy dowód na to, że program stabilizacyjny przygotowany w oparciu o wiedzę z gospodarek rynkowych działa także w gospodarce nierynkowej. Istotnie, od początku trzeciej dekady stycznia ceny detaliczne osiągnąwszy prawie 80 proc. wzrostu, stanęły w miejscu, a nawet mnożyły się obniżki.

Lądem była bariera popytu, sygnał, że skończyło się owo wyciąganie ludziom pieniędzy z portfeli, pustych w skali gospodarki, ale realnych w ludzkich portfelach, i ich spalanie, a dymem był wzrost cen. Skończyła się tak zwana inflacja korekcyjna, wyższa od tej sprzed 1 stycznia 1989 roku, ale o zupełnie innej, tym razem nie dewastacyjnej, lecz ozdrowieńczej naturze ekonomicznej. Nie do końca, ale bardzo radykalnie zwinięta została inflacyjna spirala. Zmieniało się rewolucyjnie znaczenie uczestników gry rynkowej. Firmom, które do tej pory nie znały czegoś takiego, jak trudność ze zbytem puchły magazyny od niesprzedanych towarów, upadała dyktatura producenta i sprzedawcy. Rzeczywistym panem rynku stawał się konsument, nabywca, wcześniej piąte koło u wozu handlu socjalistycznego. Fakt, miał teraz poczucie, że zubożał dzięki Balcerowiczowi, często do granicy nędzy (stąd krzyki, że ten potwór musi odejść), ale odpadł niemal cały trud z kupowaniem potrzebnych rzeczy, który przewrócił PRL. Dla ogromnej liczby ludzi ta ulga, nawet jeśli towarzyszył jej znany argument: „co z tego, że wszystko jest, jak nie ma pieniędzy" – sprawiła, że naród w istocie terapię szokową przełknął. Nie było wybuchu społecznego, który wieszczono, ani nawet wielkich protestów. Dramatyczny styczeń mieliśmy za sobą, ale zanim po dotarciu do lądu zaczęło nad nim świecić słońce wzrostu gospodarczego minąć musiało jeszcze wiele bardzo trudnych nadal miesięcy.

W połowie lutego 1990 roku GUS poinformował, że produkcja przemysłowa, która wedle zapowiedzi miała spaść o 5 proc. spadła o ponad 30 proc., co w społeczeństwie wstrząsu nie wywołało, bo ten spadek odczuło w styczniu. Wstrząsnął się natomiast rząd, do tego stopnia, że posłaniec ze starej kadry, prezes GUS o mało nie stracił posady, obwiniony niesłusznie przez ministerstwo finansów o błędne obliczenie. Widowiskowy argument do ręki dostali również wówczas już liczni i głośni przeciwnicy polityki rządu. Do brzegu dotarliśmy w miejscu gorszym od wyliczonego, ale dotarliśmy. A to w realizacji programów podobnych jak nasz często się nie udawało. Przez cały rok 1990 rynek ładniał, stawał się coraz bardziej przychylny ludziom, ale rosły też kolce. Aktywność gospodarki była niska, zwiększało się bezrobocie, wcześniej nieznane, a pod koniec roku sześcioprocentowe (573 tysiące osób). Rok zamknęliśmy 12 - proc. spadkiem PKB, co było największym wówczas załamaniem w pokomunistycznym świecie.

Dramatyczny rok 1991

Na dodatek rok 1991 zarysował się jeszcze gorzej. Fala zmian, przeobrażeń, czystek, która przetoczyła się przez rynek, ale oszczędzała firmy, utrzymujące, z różnych powodów, niezłą kondycję finansową, stanęła u progu fabryk. Wraz z likwidacją RWPG załamał się związany z nią rynek, gospodarka przez wiele miesięcy 1990 roku chroniona wysokim kursem dolara przed importem stopniowo się otwierała, bo w obawie przed wzrostem inflacji za długo zwlekano z dewaluacją złotego. To był, jak sądzę, największy błąd w realizacji programu, wynikający z nadmiaru antyinflacyjnego uporu, który z zalety stawał się wadą. Początkowo zakładano, że wyjściowy kurs będzie utrzymywany przez kilka miesięcy, a trzymano go do kwietnia 1991 roku. Przez to otwarcie, a także przez wyczerpywanie się zaopatrzenia kupionego po znacznie niższych cenach sprzed kilku miesięcy, coraz więcej firm stawało przed groźbą bankructwa. Nadal rosło bezrobocie, a finansom publicznym ponownie groziło załamanie. Dla Leszka Balcerowicza to musiał być rok gorszy niż poprzedni, bo mogło się wydawać, że jego polityka legnie w gruzach. Na koniec roku, który kończył misję

rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego i pracę Balcerowicza, produkt krajowy był o dalsze 8 proc. niższy, a bezrobocie wynosiło 12 proc. Przeciwnikom przyjętego kursu wydawało się, że triumfują. W programie Socjaldemokracji Rzeczpospolitej Polskiej (SdRP- spadkobierczyni PZPR) ogłoszonym w marcu 1991 roku pisano, że „ta nie mająca precedensu w historii powojennej Europy katastrofa polskiej gospodarki była przede wszystkim skutkiem błędnej diagnozy przygotowanej pod dyktando Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego" . Pospieszyli się.

Bo oto już w tym samym roku 1991 zaczęły przychodzić informacje, że załamują się i to dramatycznie wszystkie gospodarki pokomunistycznego świata, bez względu na politykę, jaką w danym kraju zastosowano. Okazywało się, że załamanie gospodarcze, przypisywane rządowi Mazowieckiego jest powszechne i wynika z głębszych, ale wspólnych krajom pokomunistycznym przyczyn, a nie z takiej czy innej polityki. Załamała się katastrofalnie nawet gospodarka NRD, w którą w roku 1991 wpompowano 140 miliardów marek zachodnioniemieckich, trzy razy tyle co ówczesny budżet Polski i w następnych latach z ograniczonymi skutkami ładowano następne setki miliardów.

Gospodarki tych krajów powstawały przez dziesięciolecia bez kontaktów z prawdziwym rynkiem, pod wyobrażenia i potrzeby rządzących biurokracji, głównie imperialnej, radzieckiej. I oto dyktatury upadły, a przedsiębiorstwa straciły odgórnych dysponentów i stanęły oko w oko z klientem, z konsumentem, z odbiorcą i on powiedział, że wiele z tego, co dają, mu nie odpowiada. I to właśnie – zderzenie nierynkowej tkanki ekonomicznej z rynkowymi potrzebami konsumentów, wywołało załamanie, bo potencjału gospodarczego nie daje się przestawić z miesiąca na miesiąc. Najlepiej na tym wyszły te kraje, które uznały, że struktury gospodarki socjalistycznej trzeba usuwać jak najszybciej i zastępować nowymi. W swym najważniejszym bowiem mechanizmie rynek wprowadził się sam, natychmiast po upadku ustroju, bo rynek to wolność podejmowania decyzji przez jego uczestników. Rolą polityk było szybkie wyposażenie go we wszystko, co potrzebne, żeby działał dobrze. Wygrywał radykalizm, a nie tak bardzo wtedy zalecany gradualizm – jak mawialiśmy – koncepcja obcinania psu ogona po kawałku, żeby ulżyć jego cierpieniu.

Po latach

Potwierdzało się to nad Wisłą. W miarę, jak płynął czas, Polska, absolutna rekordzistka spadku PKB w roku 1990, „królowa recesji”, jak krzyczeli krytycy, wyprzedzana była w tym złym wyścigu przez kolejne kraje dawnego obozu. Dla przykładu w roku 1990 PKB spadł w Czechosłowacji o 1,5 proc., na Węgrzech o 3,5 proc., w Polsce o 12 proc., ale w dwa lata później był on niższy w Czechosłowacji już o 23 proc., na Węgrzech o ponad 18 proc., a w Polsce o 17 proc. Wrażenie wielkiej i samotnej katastrofy gospodarczej nad Wisłą w roku 1990, które uwiodło pospiesznych krytyków, wzięło się z tego, że dzięki „Planowi Balcerowicza” weszliśmy w nową, rynkową rzeczywistość gospodarczą pierwsi. Pierwsi też doznaliśmy z wielką siłą owego zderzenia starych struktur gospodarczych z rynkiem, które zaowocowało powszechnym kryzysem transformacyjnym od Łaby po Władywostok. Inne kraje wystartowały rok później i poza kilkoma wyjątkami gorzej niż my, głównie przez rezygnację z „wielkiego rynkowego pchnięcia”, albo przez wycofywanie się z niego pod wpływem trudności i nacisków.

W połowie lat 90. oczywistym się stało, że skala załamania naszej gospodarki liczona skumulowanym spadkiem produktu krajowego brutto (około 19 proc) jest najniższa ze wszystkich krajów pokomunistycznych. I że czas tego załamania – zwany kryzysem transformacyjnym – był również najkrótszy, bo trwał do połowy roku 1992, a więc dwa i pół roku od „godziny zero”. W innych krajach przeciągnął się na wiele lat, tu i ówdzie, aż do początków wieku XXI. Trafna i konsekwentna polityka gospodarcza kryzysowi nie zapobiegła, bo nie mogła, ale go złagodziła i skróciła. Od połowy roku 1992 gospodarka polska, już jako gospodarka poddana rygorom rynku, co nie znaczy, że całkowicie wtedy przemieniona z zupy rybnej w akwarium, zaczęła rosnąć i rosła imponująco niemal do końca wieku wyprzedzając znacznie pod tym względem wszystkie kraje przechodzące transformację. Dla przykładu, w roku 2002 w stosunku do roku 1990 PKB Czech był niższy o 4 proc., Słowacji wyższy o 12 proc,, Węgier o 16 proc., Polski o 48 proc. Wszędzie indziej było znacznie gorzej. Nie ulega wątpliwości,

że transformacja powiększyła różnice socjalne we wszystkich krajach, w Polsce może nawet bardziej niż w wielu innych. W żadnym jednak kraju nie doszło do takiego konsumpcyjnego festiwalu, jak nad Wisłą, w którym uczestniczyli wszyscy, choć oczywiście w różnym stopniu. Pokazuje to dynamika spożycia. W roku 2001, w stosunku roku 1990 było ono wyższe w Czechach o 3 proc., na Węgrzech o 12 proc., a w Słowacji spadło o 10 proc.. W pozostałych krajach było na ogół o wiele gorzej. W Polsce natomiast spożycie zwiększyło się o 61 proc., sądzę nawet, że za bardzo. W tym jest wytłumaczenie bardzo dynamicznego wzrostu sektora handlu, wyjątkowo zaniedbywanego w PRL oraz sprzedaży detalicznej.

Po dwudziestu latach Polska jest nadal liderem wzrostu gospodarczego na całym ogromnym obszarze dawnego sowieckiego imperium i to liderem, który w ostatnich kilku latach jeszcze bardziej wysforował się do przodu dzięki większej niż inne kraje odporności na kryzys, w czym także jest echo polskich początków. Wedle opublikowanej niedawno statystyki Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju polski PKB wzrósł w latach 1989 – 2009 o 80 proc. We wszystkich krajach przechodzących transformację o 31 proc., w tym w Europie Środkowej o 50 proc., (tutaj, podobnie, jak w ogólnym wskaźniku, jest także udział polskiego rekordu, podwyższający średnią), w Europie południowo-wschodniej o 7 proc., we Wschodniej Europie, bez Rosji PKB spadł o 7 proc., w Rosji pozostał bez zmian. W Czechach produkt krajowy zwiększył się o 36 proc., w Słowacji o 54 proc., na Węgrzech o 27 proc. Na Ukrainie spadł o 40 proc.

Dzięki rekordowi wzrostu gospodarczego Polska w minionych dwudziestu latach wyprzedziła część krajów transformujących gospodarki pod względem rozwoju ekonomicznego, a do czołówki (Czech, Węgier, Słowacji, Słowenii) znacznie skróciła dystans. Ograniczone miejsce nie pozwala na przedstawienie wielu innych wskaźników pokazujących niezwykły postęp kraju w minionym dwudziestoleciu, ale warto wspomnieć długość życia obu płci, która wzrosła już po 15 latach III Rzeczpospolitej o ponad 3 lata (PRL-owi zajęło to lat 30), czy spadek śmiertelności niemowląt z 20 do 6 promili, także w podobnej skali redukowanego w Polsce Ludowej przez około 30 lat.

Obok produktu krajowego brutto są to dwa podstawowe wskaźniki, które mówią, czy kraj w danym okresie szedł do przodu, czy nie, czy może się cofał. Szliśmy do przodu szybkim ciągiem, może nie podświetlnym, jak u Lema statki w kosmosie, ale szybkim, jak na Ziemię.

Oczywiście niemało w minionych dwudziestu latach popełniono błędów i zaniechań. Nie można nawet wykluczyć, że program gospodarczy 1990 był rzeczywiście przestrzelony, czyli za ostry, nie można tego wykluczyć, bo nie da się z matematyczną precyzją dowieść, że był w sam raz. W tej sprawie toczyć będą fachowe spory ekonomiści i niefachowe, a czasem głupie politycy, raz sejmowi, raz prasowi. Niech sobie toczą. Jest w Polsce nadal wiele problemów, być może niektóre wywodzą się z błędów początku, ale widzieć je we właściwej perspektywie i znajdować właściwe środki zaradcze można tylko, jeśli widzi się niewątpliwy sukces polskiej transformacji. Kilka z jej kluczowych osiągnięć chciałem pokazać, opisując przy okazji własną przygodę. Wszyscy możemy być z niej dumni.

W naszej historii mamy sporo wydarzeń tragicznych, klęsk uważanych dziwnie za moralne zwycięstwa. Przestawienie gospodarki polskiej z realnego socjalizmu na realny kapitalizm jest rzeczywistym zwycięstwem, opisywanym jednak przez ulegających owej dziwności myślenia jako wielka narodowa klęska. Patrząc wszakże na rozkład opinii w narodzie, sądzę, że gatunek rodaków z tak zaburzonym wzrokiem ustępuje miejsca ludziom o widzeniu normalnym.